Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 145 (Rok X, Nr 2) 15 stycznia 1950 Cena (Price) 1/6

KTO PODWAŻA LEGALIZM

STRONNICTWO Narodowe przywiązywało zawsze i nadal przywiązuje jak największą wagę do utrzymania prawnej ciągłości Państwa Polskiego i jego naczelnych organów, choćby na razie działalność ich ograniczona była do niezbędnego minimum. Fakt, że zdołaliśmy nieprzerwanie zachować ciągłość prawnego istnienia Rzeczypospolitej w okresie najstraszliwszego potopu, jaki nawiedził kraj nasz w ciągu jego tysiącletnich dziejów, ma w sobie coś szczególnie krzepiącego i napawającego otuchą na przyszłość. Co więcej, legalna struktura Państwa Polskiego, choć dziś nieuznawana przez wielkie mocarstwa, nabrać może znów ceny na terenie międzynarodowym i może grać w przyszłości na korzyść sprawy polskiej, o ile tylko będziemy umieli wyzyskać nadarzającą się koniunkturę.

Dzięki stanowisku przede wszystkim Stronnictwa Narodowego oraz Polskiej Partii Socjalistycznej nawet tragiczny okres Jałty i jej bezpośrednich następstw nie zdołał — mimo wszystkich wysiłków możnych tego świata — zachwiać prawnej struktury Państwa Polskiego. Dopiero w ciągu ostatnich dwóch i pół lat ujawniły się w obrębie polskiej społeczności emigracyjnej pokątne, później coraz śmielsze, poczynania, które stanowią istotne niebezpieczeństwo dla przetrwania legalizmu.

Na tym tle groźne przesilenie zarysowało się już w lecie r. 1947, kiedy — w obliczu zbliżającego się nieuchronnie zgonu Prezydenta Raczkiewicza — pewne zakulisowe czynniki postarały się o zmianę na stanowisku następcy Prezydenta w sposób, który wywołał zastrzeżenia i reakcje. Stronnictwo Narodowe — które zostało tymi metodami zaskoczone na równi z całym społeczeństwem polskim — głównie dlatego, by nie dopuścić do zamieszania i wprowadzenia w urząd dwóch prezydentów, co oznaczałoby w praktyce koniec legalizmu, uznało nominację ostatnią, tj. p. Augusta Zaleskiego, który też stanowisko to objął. Powstała jednak trudna do naprawienia szkoda w postaci usunięcia się z rządu Polskiej Partii Socjalistycznej.

Rozbicie, jakie fakt ten za sobą pociągnął, skurczyło reprezentatywny charakter władz państwowych i podcięło możliwości solidarnego występowania Polaków na zewnątrz. Zachodziła groźba, że rozproszkowanie polskich sił politycznych będzie postępowało nadal, wyrządzając sprawie polskiej wręcz nieobliczalne szkody, zarazem zaś redukując legalizm polski do roli czysto papierowego symbolu, niewypełnionego żadną aktualną treścią. Wówczas Stronnictwo Narodowe podjęło próbę zahamowania i odwrócenia tego zgubnego procesu, którego niebezpieczeństwa były równie silnie odczuwane w Polskiej Partii Socjalistycznej i innych ośrodkach polskich. Prowadzona akcja zmierzała do dwóch celów: do oparcia władz Rzeczypospolitej o główne polskie ruchy polityczne, — z drugiej zaś strony do stworzenia warunków skutecznego działania na zewnątrz. Ponieważ rząd R.P. nie jest obecnie uznawany przez większość państw, w szczególności zaś przez główne mocarstwa, działanie takie prowadzone być może tylko przez reprezentację innego typu, w której skład wchodziliby przedstawiciele ugrupowań, stanowiących trzon rządu, obok tego zaś reprezentanci innych grup i wybitne jednostki spoza stronnictw. Zapewniłoby to niezbędną harmonię wysiłków polskich przynajmniej aż do chwili zasadniczej zmiany położenia międzynarodowego.

W tym kierunku szła także — obok kontaktów, jakie nawiązał z wybitnymi przedstawicielami amerykańskiego życia politycznego, — działalność prezesa Bieleckiego w czasie jego pobytu w Stanach Zjednoczonych w pierwszej połowie r.ub., działalność, nacechowana nie tylko umiarem, ale i pełną lojalnością wobec wszystkich wchodzących w grę polskich czynników politycznych. Te same jednak koterie, które odpowiedzialne są za przebieg przesilenia „prezydenckiego" poczuły się zagrożone w swych planach i postanowiły akcję konsolidacyjną storpedować, zarazem zaś w miarę możności zmonopolizować dla siebie legalizm całkowicie. One to swymi intrygami w lutym r.ub. doprowadziły do upadku rządu gen. Bora-Komorowskiego, później zaś, w czasie pobytu prez. Bieleckiego w Stanach Zjednoczonych, kiedy bliskie już było zawarcie porozumienia głównych stronnictw polskich, opartego o zasadę legalizmu, spowodowały nominację gabinetu Tomaszewskiego, — gabinetu groteskowo jednostronnego i niereprezentatywnego. Równocześnie podjęta została brzydka kampania, skierowana przeciw czołowym stronnictwom polskim, a posługująca się znanymi chwytami ery BBWR i „Ozonu".

Skutki tego wszystkiego musiały być fatalne. Najpierw więc naruszone zostały normy prawne, obowiązujące przy powoływaniu rządu, — normy, które wytworzyły się w ciągu wojny jako niezbędna korektura czy uzupełnienie konstytucji z r. 1935. Jest oczywistym absurdem powoływanie się dzisiaj — jak to czynią niektórzy pogrobowcy reżymu przedwojennego — na praktykę konstytucyjną stosowaną w okresie 1935 - 1939 — i jasną było rzeczą, że wszelkie próby w tym kierunku będą wysoce szkodliwe i na terenie wewnętrznym i zewnętrznym.

Drugim niedobrym skutkiem powołania gabinetu p. Tomaszewskiego było zwężenie podstawy rządu do jednej w praktyce grupy politycznej — i to grupy, w której znów wzięły górę dążności, sprzeczne z podstawowymi zasadami demokracji. Trudno sobie chyba wyobrazić reprezentatywny charakter legalnych władz polskich i ich

owocną działalność, gdy równocześnie władze te znajdują się w stanie wojny z głównymi polskimi ruchami ideowo-politycznymi.

Ogólnie wreszcie biorąc wydarzenia kwietniowe, łącznie z późniejszymi posunięciami w rodzaju utworzenia również niereprezentatywnej Rady Narodowej, przyczyniły się do dalszego zajątrzenia stosunków i pogłębiły istniejącą nieufność.

Impas, jaki się w ten sposób wytworzył, przełamany został jednak szczęśliwie przez powstanie w grudniu r.ub. Rady Politycznej, skupiającej już dzisiaj przedstawicieli Stronnictwa Narodowego, Polskiej Partii Socjalistycznej, PRW „Niepodległość i Demokracja", dwóch spomiędzy czołowych działaczy Polskiego Stronnictwa Ludowego i kilka wybitnych jednostek spoza stronnictw. Rada, jak wynika z oświadczeń jej przedstawicieli, postawiła sobie za cel usunięcie dotychczasowego rozbicia i wypełnienie żywą treścią struktury prawnej Państwa Polskiego przez oparcie jej o główne polskie nurty ideowo-polityczne, — równocześnie zaś stworzenie podstawy do sprężystej działalności polskiej na gruncie międzynarodowym.

Powstanie Rady i pierwsze jej wystąpienia wywołały żywy i przychylny oddźwięk w rzeszach Polaków, żyjących w wolnym świecie; szczególnie entuzjastycznie powitane one zostały wśród Polonii amerykańskiej. Spotkały się one za to z nieukrywaną irytacją tych, którzy już przed wojną wszelką konsolidację stronnictw uważali za największą groźbę dla swych monopolistycznych zapędów. Szydło wylazło z worka w sposób aż nadto wyraźny. Kiedy powstawał gabinet Tomaszewskiego z kół tych głoszono, że jest to rząd tymczasowy, powołany dlatego, że stronnictwa się kłócą i nie mogą się pogodzić. Dziś, gdy stronnictwa osiągnęły porozumienie w zakresie podstawowych zagadnień polityki polskiej i wyłoniły swą wspólną reprezentację, wspomniane koła sanacyjne (bo nie chcemy obciążać tym zarzutem wszystkich piłsudczyków) dają upust swej złości w sposób zgoła sprzeczny z głoszonymi przez siebie hasłami. Mnożą się najbardziej bezsensowne inwektywy i histeryczne ataki prasowe. Autorzy ich nie widzą w swym zacietrzewieniu, że insynuując głównym stronnictwom polskim takie stanowisko, wyrządzają sprawie legalizmu coraz dotkliwsze szkody, wywołują bowiem wrażenie, że legalizm ten jest czymś bardzo wątłym i zwalczanym przez wielkie odłamy społeczeństwa polskiego.

Stoimy dziś na rozdrożu. Jak się wyraził prezes Bielecki na otwarciu Rady Politycznej, zachodzi dziś „dobra sposobność naprawienia zwichniętej równowagi i oparcia ustroju naszego o żywe siły polityczne, a nie tylko o puste deklaracje i uchwały". Czy sposobność ta zostanie wyzyskana wbrew wszelkim złym podszeptom i intrygom, zależy od ogółu czynników kształtujących ramy naszego życia politycznego.

POLONIA AMERYKAŃSKA WITA RADĘ POLITYCZNĄ

Prasa Polonii Amerykańskiej powitała powstanie Rady Politycznej w Londynie ze szczerą radością, umieszczając na naczelnym miejscu i pod wielkimi tytułami obszerne sprawozdania z posiedzenia inauguracyjnego i cytując wyjątki z przemówień wygłoszonych przez przedstawicieli stronnictw.

Nowojorski „Nowy Świat" w numerze z dnia 28 ub. m. poświęca pół pierwszej strony sprawozdaniu nadesłanemu przez własnego korespondenta, oraz podaje również pełny skład członków Rady i jej organów.

W numerze z dnia 30 ub. m. „Nowy Świat" zamieszcza artykuł wstępny, w którym zacytowawszy z przemówienia prezesa dra T. Bieleckiego, nazwanego przez autora „politykiem niezwykle ostrożnym", część odnoszącą się do spraw wewnętrznych, dodaje od siebie:

„Konsolidacja stronnictw, zapoczątkowana przez utworzenie Polskiej Rady Politycznej 20 grudnia, może być niewygodna tylko tym, którzy uzurpują sobie monopol na walkę polityczną o Polskę Jutra z pominięciem autentycznych i zasłużonych stronnictw, albo tym jednostkom, którym się zdaje, że podołają w pojedynkę kolosalnemu zadaniu. Pierwsi naruszyli podstawę konstytucyjną na wiosnę 1947 r. i nie chcą się do tego przyznać. Co do drugich, to każdy okres dziejów zna im podobnych, tzw. małych Napoleoników, przysparzających demokracji niemałych kłopotów. Jednych i drugich trzeba przetrzymać, a nad ich pychą, czy też lekkomyślnością trzeba przejść do porządku dziennego.

„Nie pora dzisiaj na rozdrabnianie sił demokracji, na waśnie i spory partyjne po naszej stronie, gdy całej ludzkości zagraża wróg wolności i praw człowieka. Żeromskiego powiedzenie i tytuł książki, „Rozdziobią nas kruki, wrony", nigdy nie miało większego dla Polaków sensu niż teraz".

Drugi wielki dziennik Polonii amerykańskiej, „Dziennik Związkowy", wychodzący w Chicago, zamieszcza również szczegółowy opis otwarcia Rady Politycznej z obszernymi cytatami wygłoszonych przemówień i pełnym składem Rady i jej organów. M.in. „Dziennik Związkowy" pisze:

„Rada będzie reprezentować sprawę polską w oparciu o tradycje ugrupowań politycznych przedwojennych i nowych, aktywnych grup politycznych, które uzyskały wpływ na polskie ośrodki na emigracji. Rada działać będzie zgodnie z zasadami demokratycznymi i zapewni możność omawiania wszystkich problemów, dotyczących spraw narodu polskiego. Wysiłki te skierowane będą ku obronie interesów polskich na odcinku międzynarodowym. Rada zmierzać będzie do uzyskania stanowiska pełnej reprezentacji polskiej w wolnym świecie".

Na trzy dni przed oficjalnym otwarciem Rady Politycznej ten sam dziennik poświęcił jej artykuł wstępny, w którym stwierdza:

„Powołana w Londynie do życia Rada Polityczna stanowi powrót do „złotego środka" kompromisu, jaki znamionował polską jedność polityczną po klęsce wrześniowej w końcu roku 1939 i nieomal przez cały okres wojny, dopóki skrajne ambicje pewnych jednostek przy sterze nie przywróciły przedwrześniowej koncepcji najwyższej reprezentacji państwowej i narodowej".

O DEMOKRACJĘ W PRAKTYCE

W numerze z dnia 21 ub.m. nowojorski „Nowy Świat" na pierwszej stronie wydrukował oświadczenie złożone na prośbę redakcji przez p. Adama Niebieszczańskiego, przedstawiciela Stronnictwa Narodowego na Stany Zjednoczone, w związku z powołaniem Rady Politycznej w Londynie.

„Powstanie Rady Politycznej w Londynie uważam za wzmożenie i znaczne skoordynowanie wysiłków w kierunku odbudowania niepodległej Polski.

„Wspólna walka o wolną i niepodległą Polskę jest głównym celem porozumienia stronnictw, u jego podstaw zaś leży przeświadczenie, że dążymy wspólnie do Polski szczerze demokratycznej, w której szanowane będą prawa człowieka i nieskrępowane prawo obywateli do wyboru ciał ustawodawczych i rządu poprzez system stronnictw politycznych.

„Drugą, zasadniczą podstawą porozumienia z 4 grudnia jest uznanie konstytucyjnej ciągłości państwa polskiego za granicą, w oparciu o pisane normy prawa publicznego, oraz normy zwyczajowe, przyjęte od 30 listopada 1939 r., na których z kolei opierały się rządy polskie za granicą, oraz cały system traktatów międzynarodowych przez rządy te zawartych.

„Porozumienie bez oparcia o powyższe zasady miałoby z natury rzeczy charakter prowizoryczny i nie wytrzymałoby próby życia.

„Porozumienie stronnictw z 4 bm. było możliwe także dlatego, że kierują nimi zbiorowe organy partyjne, w których decyzja większości jest decyzją całego stronnictwa, a prezesi i zarządy są jedynie wykonawcami woli większości. Demokratyczna większość przechodzi do porządku nad ambicjami jednostek. Mówiąc z ramienia swojego ruchu pragnę stwierdzić, że w Stronnictwie Narodowym nie tylko dąży się do Polski demokratycznej na płaszczyźnie programu partii, ale praktykuje się też ustrój

(Dalszy ciąg na str. 4)

Uroczyste otwarcie Rady Politycznej w dn. 20.XII.1949













Przemówienie Prezesa SN — Plenum — Prezydium — Członkowie Rady w rozmowie — Bezpartyjni — Cześć publiczności

(Dalszy ciąg ze str. 2)
demokratyczny we własnym stronnictwie.

W artykule wstępnym pt. „O demokrację w praktyce", komentującym oświadczenie p. Niebieszczańskiego, „Nowy Świat" pisze:

„Oświadczenie przedstawiciela Stronnictwa Narodowego w St. Zjed., zamieszczone na pierwszej stronie dzisiejszego numeru Nowego Świata, przypomina wynurzenia prezesa tego stronnictwa, dr Tadeusza Bieleckiego, ogłoszone w Nowym Świecie podczas jego pobytu w St. Zjed. w roku bieżącym. Wynurzenia te wskazywały, że Stronnictwo Narodowe, trwając silnie przy ciągłości prawnej państwowości polskiej, nie widzi w tej koncepcji pustego frazesu, lecz dąży do wypełnienia tej zasady żywą treścią polityczną.

„Dzisiejsze oświadczenie p. A. Niebieszczańskiego zdaje się wskazywać, że Stronnictwo Narodowe widzi w Radzie Politycznej zaprzeczenie nie tylko monopolizacji walki o Polskę Jutra z jednej strony, lecz i uprawiania jedynowładztwa z drugiej — jednej i drugiego pod płaszczykiem demokracji. Innymi słowy, Stronnictwo Narodowe sprzeciwia się temu, co się po angielsku nazywa „lip service to democracy", tj. pięknym frazesem o demokracji, bez jej stosowania w praktyce.

„W ustroju demokratycznym decyzje powinny być wynikiem dyskusji i muszą być powzięte dobrowolnie, a nie pod przymusem. Wszelkie terroryzowanie nie może dawać trwałych rezultatów. W postanowieniu utworzenia Rady Politycznej, jak to uczyniło porozumienie Stronnictwa Narodowego z PPS i NiD z 4 grudnia, dostrzega Polonia Amerykańska wyniki dyskusji demokratycznej. Wita je przeto radośnie, jako tę z dawna oczekiwaną decyzję, która zmierza do zakończenia kryzysu w działaniu politycznym polskiej emigracji wojennej".

Warto zalecić publicystom, zwłaszcza „Orła Białego", przestudiowanie tego prostego artykułu, a może przekonają się wreszcie, że ich hasła demokracji zalecanej w teorii, a w praktyce stosowane przez ich mocodawców na zasadzie nominacji, nikogo nie zmylą.

W PRASIE POLSKIEJ NA KONTYNENCIE

Wychodząca w Paryżu „Placówka" poza sprawozdaniem z posiedzenia inauguracyjnego wydrukowanym w numerze świątecznym, zamieściła w numerze z dnia 4 b.m. obszerne wyjątki z przemówień wygłoszonych przez przedstawicieli stronnictw w Radzie Politycznej. Wydawana w Niemczech i ceniona we wszystkich kołach politycznych „Informacja Prasowa" w swym 200 biuletynie z dnia 7 b. m. przeznaczyła 5 stron sprawozdaniu z otwarcia Rady Politycznej. Również tygodnik wychodzący w strefie brytyjskiej Niemiec, „Polak", w numerze z 5 b.m. omawia wytworzoną sytuację w polskiej polityce wewnętrznej na tle powołania do życia Rady Politycznej i zapowiada dalsze artykuły na ten temat. Podobnie jak inne pisma polskie wychodzące na kontynencie, sztokholmskie „Wiadomości Polskie" z dnia 6 b.m. zamieszczają omówienie powstania Rady.

W RADIO

Wiadomość o powstaniu Rady Politycznej i sprawozdanie z jej posiedzenia inauguracyjnego zostały podane przez BBC w audycjach na Środkową Europę w języku polskim i innych językach środkowo-europejskich, przez radia madryckie i rzymskie. Szczególnie obszerne sprawozdanie z otwarcia Rady nadane było przez „Voice of America".

W PRASIE BRYTYJSKIEJ

Sprawozdanie z otwarcia Rady Politycznej, naświetlające zarówno cele, jakie sobie Rada zakreśla, jak również informacje o jej składzie z wymienieniem nazwisk głównych polityków w niej zasiadających, podały dwie agencje prasowe: angielska „Press Association" i amerykańska „United Press".

Ponadto w numerze z dnia 22 ub.m. na stronie wiadomości politycznych londyński „The Times" zamieścił notatkę pt. „Nowa Polska Rada Polityczna", w której korespondent pisma donosi m.in.: „Polska Rada Polityczna, która została powołana na początku b.m., odbyła swoje inauguracyjne posiedzenie we wtorek w Central Hall, Westminster. Rada składa się z przedstawicieli prawicowego Stronnictwa Narodowego i Partii Socjalistycznej, oraz członków ugrupowania „Niepodległość i Demokracja", utworzonego w czasie wojny. Posiedzenie zostało otwarte przez weterana i przywódcę socjalistycznego, b. premiera p. Arciszewskiego. Rada pragnie stać się czymś w rodzaju Wolnego Parlamentu. Wśród jej członków są b. ministrowie i przywódcy ruchu podziemnego, a także p. R. Piłsudski, bratanek (sic!) nieżyjącego marszałka Piłsudskiego. Stronnictwo Ludowe, któremu przywodzi p. Mikołajczyk, nie przystąpiło do Rady".

„Manchester Guardian" w numerze z dnia 21 ub.m. zamieszcza notatkę swego londyńskiego korespondenta pt. „Uchodźcy polscy":

„Polacy są najbardziej aktywni spośród grup polityków na wygnaniu. Istnieje jeszcze zalążek dawnego rządu polskiego w Londynie z p. Tomaszewskim na czele. Trzy miesiące temu przedstawiciele czterech stronnictw na wygnaniu, socjalistów, ludowców, chrześcijańskich demokratów i Stronnictwa Demokratycznego utworzyli Polski Komitet Współpracy Demokratycznej. Dziś wieczorem nowe ciało zaprezentowało się — Polska Rada Polityczna złożona głównie z socjalistów i skrajnie prawicowego Stronnictwa Narodowego. Rada ta zamierza być wolnym parlamentem na wygnaniu. Jednakże początek jej nie był zbyt szczęśliwy. Silne niegdyś Stronnictwo Ludowe prowadzone przez Mikołajczyka w Nowym Jorku zbojkotowało ją, ponieważ nie chce ono przyjąć koncepcji ciągłości prawnej państwa opartego na totalitarnej konstytucji z 1935 r. Większość polskich stronnictw politycznych bojkotowała wybory przeprowadzone na podstawie tej konstytucji, i jest trochę trudno zrozumieć, co socjaliści robią dzisiaj w tej grupie.

„Rada zapowiada, że jeśliby wróciła do Polski, konstytucja byłaby w praktyce zmodyfikowana przez bardziej liberalne jej stosowanie wypracowane w podziemiu i przez gen. Sikorskiego przed jego śmiercią. Przywódcami w Radzie są p. Bielecki ze Stronnictwa Narodowego, p. Tomaszewski (sic!) z ramienia socjalistów i p. R. Piłsudski, bratanek marszałka i członek ugrupowania znanego pod nazwą Niepodległość i Demokracja".

W numerze z dnia następnego „Manchester Guardian" zamieścił bardziej obiektywną notatkę pt. „Zebranie Polskiej Rady Politycznej" zaopatrzoną w podtytuł: „Polska powinna być odbudowana":

„Polska Rada Polityczna odbyła swoje inauguracyjne posiedzenie we wtorek w Londynie. Składa się ona z 32 członków i 14 zastępców, i obejmuje przedstawicieli Stronnictwa Narodowego, Polskiej Partii Socjalistycznej i ugrupowania politycznego znanego pod nazwą Niepodległość i Demokracja, które zostało utworzone w czasie wojny.

„Rada będzie starała się wprowadzić sprawę polską na teren polityki międzynarodowej i będzie żądała uznania dla siebie jako przedstawicielstwa narodu polskiego ujarzmionego pod reżymem komunistycznym.

„Mówcy oświadczyli, że Polska powinna być odbudowana jako wolne, demokratyczne i niezależne państwo po zatrzymaniu penetracji sowieckiej w głąb Europy i wyrugowaniu jej poza historyczne granice Rosji. Podkreślili także konieczność zjednoczenia Europy i domagali się dopuszczenia wolnych przedstawicieli Polski do Zgromadzenia Europejskiego".

Czytelnika polskiego musi uderzyć zwłaszcza terminologia użyta w pierwszej notatce, która ukazała się w „Manchester Guardian". Okazuje się, że została ona zaczerpnięta z komunikatu prasowego wydanego przez Wydział Wykonawczy PSL w Londynie i podpisanego przez p. F. Wilka. W komunikacie tym konstytucja z 1935 r. określona została jako autorytatywna, rząd polski w Londynie określony jako „tak zwany", a pod adresem Stronnictwa Narodowego użyto dodatkowego frazesu, że „reprezentuje skrajną prawicę". Jak zwrócono już uwagę gdzie indziej, widać w tych sformułowaniach rękę prof. Kota.

SZEŚCIOLATKA I KOŁCHOZY

Kampania za wprowadzeniem kołchozów na wsi polskiej jest prowadzona coraz szerzej i w ramach tzw. planu sześcioletniego, obecnie wchodzącego w życie, poważna część wsi polskich przekształcona ma być na kołchozy.

W kampanii tej ostatnio bierze także udział grupa tzw. katolików reżymskich. Ich organ przedstawia w szeregu artykułów korzyści kolektywizacji dla samych chłopów. Chłop jest zacofany społecznie i kulturalnie, bo całą energię zużywa na walkę o każdy mórg a przyszłość widzi tylko w zdobyciu jednego morga więcej. Jest niewolnikiem swego zagonu. Wszelkie widoki rozwoju staną przed nim, gdy zostanie polskim kołchoźnikiem (tego

słowa oczywiście nie używa się w Polsce).

Wydaje nam się, mimo wszystko, że chłop lepiej wie, gdzie jest jego przyszłość, niż komunizujący inteligenci. Wie on, że zastąpienie charówki na własnym małym zagonie pańszczyźnianą pracą w kołchozie, nie jest poprawą ale pogorszeniem bytu, nie postępem ale uwstecznieniem, nie otwarciem ale zamknięciem wszelkich możliwości rozwojowych. I z tą walką o każdy nowy mórg nie jest on tak głupi jak sądzą w niektórych redakcjach. Gospodarstwo karłowate, gospodarstwo nieopłacalne oznacza rzeczywiście niewolę. Wyjściem jest gospodarstwo chłopskie samodzielne, opłacalne, zaopatrzone w nawozy i nowoczesny sprzęt rolniczy. Takie rodzinne gospodarstwo chłopskie musi mieć pewną ilość morgów, by jego właściciel mógł prowadzić życie na poziomie kulturalnego członka narodu, dać odpowiednie wykształcenie dzieciom, być niezależnym od biurokracji gospodarczej i innej. Wyzwolenie jest jednak tylko przez te ośmieszane morgi.

Zbrodniarze bolszewiccy wiedzieli co robią, gdy zaczęli marnować wielkie możliwości, jakie Polsce dała druga wojna światowa przez przyłączenie ziem zachodnich. Możność z jednej strony odpływu ludności ze wsi do przemysłu na zachodzie, z drugiej wielkie przestrzenie do osadnictwa nad Odrą i Pregołą, mogły spowodować dobroczynną rewolucję agrarną w Polsce. Zrobiono wszystko, by do tego nie doszło. W Polsce środkowej przeprowadzono chaotyczną „reformę rolną", przydzielając karłowate działki, na ziemiach odzyskanych utrzymano wielkie majątki w zarządzie państwowym jako sowchozy, nie dano tytułu własności osadnikom, potworzono zbyt małe gospodarstwa. Nie zrobiono wysiłków w kierunku zaopatrzenia wsi w nawozy sztuczne, sprzęt mechaniczny, inwentarz żywy. Zrobiono wszystko, by stworzyć jak największą masę „biedoty wiejskiej". A teraz tego stanu używa się jako argumentu za wprowadzeniem kołchozów. Oczywiście chłopi nie-kołchoźnicy będą w czasie „sześciolatki" ogładzani, pozbawieni sprzętu i nawozów, gnębieni absurdalnymi podatkami i rekwizycjami, a kołchozy i sowchozy będą zaopatrywane i popierane... do czasu.

Lata ciężkiej walki stoją przed wsią polską, walki z największym jej wrogiem jakim są komuniści wraz ze swymi niewolnikami.

WOBEC CZERWONYCH CHIN

POLITYKA I HANDEL

Gdy numer niniejszy dojdzie do rąk czytelnika, w Colombo, stolicy Cejlonu, najmłodszego dominium brytyjskiego, toczyć się będą narady ministrów spraw zagranicznych Wspólnoty Narodów nad ustaleniem łącznej polityki w stosunku do groźby komunizmu w Azji. Groźba ta wyrosła niepomiernie z chwilą, gdy wojska Mao Tse-tunga zbliżyły się do granic Indochin i Birmy. Reszcki wojsk narodowych, broniące się w prowincji Szechuan i na pograniczu Tybetu, nie są w stanie nawet opóźnić triumfalnego pochodu oddziałów komunistycznych na południe Chin. Czwarta z kolei, dziesięciodniowa stolica rządu narodowego, Czengtu, wpadła w ręce komunistów. Cziang Kai-szek wycofał się na Formozę, zamierzając tam doczekać wybuchu bliskiej już, jego zdaniem, trzeciej wojny światowej. Ponieważ Formoza, na skutek braku traktatu pokojowego z Japonią, nie jest formalnie częścią terytorium chińskiego, rząd Cziang Kai-szeka, przez obranie siedziby na tej wyspie, stał się rządem pozbawionym własnego terytorium, tzn. rządem na wygnaniu. Zagadnienie uznania rządu komunistycznego, panującego faktycznie nad całym prawie obszarem Chin, nabrało ostrości. Ze sprawą uznania tego rządu wiąże się udział przedstawiciela Chin w Organizacji Narodów Zjednoczonych, a zwłaszcza w Radzie Bezpieczeństwa, której Chiny są członkiem stałym, wyposażonym w prawo weta.

Wielka Brytania, mająca w Chinach rozległe interesy handlowe i niespokojna o losy Hongkongu, uznała nowy rząd chiński, a za nią pójdzie zapewne większość krajów Wspólnoty. Uczyniły to już zresztą Indie i Pakistan, a jeszcze przed Indiami Birma, która formalnie do wspólnoty nie należy. Reakcja Pekinu na tę inicjatywę Birmy nie była zachęcająca: okazało się, że rząd Mao Tse-tunga nie tylko nie zamierza zabiegać o uznanie go przez państwa kapitalistyczne, lecz jeszcze stawia warunki, pod którymi pozwoli się uznać. Ta wyzywająca postawa Pekinu nie zraża jednak Wielkiej Brytanii. Brytyjski realizm polityczny przemawia za unikaniem zadrażnień z rządem, mającym władzę faktyczną nad ¼ ludności świata i za związaniem tego rządu, o ile się da, węzłami interesów handlowych z mocarstwami Zachodu. Nadto inwestycje brytyjskie w Chinach, obliczane na 300.000.000, wymagają obrony, choćby jej skuteczność na dłuższą metę mogła nasuwać wątpliwości. Wywłaszczenie bez odszkodowania jest wszak instytucją, w ustrojach komunistycznych dość powszechną.

OSTATNIA REDUTA

Sprawa uznania rządu pekińskiego przedstawia się nieco inaczej od strony amerykańskiej. Obecna siedziba Cziang Kai-szeka, Formoza, jest nader ważnym punktem strategicznym w łańcuchu wysp, okalających wschodnią Azję; wyspy tej broni 60 lotnisk, wybudowanych przez Japończyków w czasie wojny. Gdyby Formoza wpadła w ręce komunistów, w amerykańskiej linii obrony zachodniego Pacyfiku, prowadzącej przez wyspy japońskie — Okinawę — Filipiny, powstałaby dotkliwa szczerba. Nieprzyjaciel rozporządzałby w razie wojny groźną bazą lotniczą, z której mógłby atakować z powodzeniem bazy amerykańskie.

Odległość Formozy od stałego lądu wynosi przeszło 100 mil. Ponieważ komuniści chińscy nie mają floty ani lotnictwa, szanse zdobycia przez nich wyspy byłyby znikome, gdyby nie zagrożenie Cziang Kai-szeka od wewnątrz. Ma on przeciwko sobie ludność tubylczą, pamiętającą krwawe stłumienie powstania w r. 1947 i zrażoną do przedajnej administracji chińskiej, ma również silną opozycję wśród niedobitków Kuomintangu. Jego flota i lotnictwo są niepewne, mogą przejść lada dzień na stronę komunistów. Sama wyspa wreszcie, na ogół gospodarczo samowystarczalna, nie mogłaby długo utrzymać parusettysięcznego wojska bez pomocy zewnętrznej. Choć zatem wojska narodowe odparły dwukrotne próby inwazji wyspy z dużymi stratami dla komunistów, los Cziang Kai-szeka, jeżeli miałby on być zostawiony własnym siłom, można uważać po pewnym czasie za przesądzony.

W tej sytuacji Stany Zjednoczone stanęły wobec dylematu udzielenia Cziangowi pomocy do utrzymania się na wyspie bądź poważnego osłabienia swej linii obronnej na Pacyfiku. Nie miały one dotąd w stosunku do Chin żadnej zdecydowanej polityki. W ciągu ostatnich lat wysłały do Nankinu pięć misji pod przewodnictwem generałów. Pierwszym był gen. Stilwell, jego miejsce zajął gen. Wedemeyer, po nim przyszedł gen. Marshall, potem znowu Wedemeyer, wreszcie gen. Barr. Generałowie, jak się tego należało spodziewać, nie wykazali żadnej inicjatywy politycznej na szerszą miarę ani nie przyczynili się niczym do odwrócenia biegu wydarzeń. Poprzestawano na kosztownej polityce półśrodków, bez wiary nawet w jej skuteczność. Było to rzucanie milionów w ciapkę ślepca. Nadszedł wreszcie dzień wielkiej katastrofy i Ameryka zdecydowała się zaprzestać interwencji. Gdy wyparty ze stałego lądu Cziang Kai-szek schronił się na Formozę, w amerykańskich kołach politycznych powstało zamieszanie. Republikanie byli za użyciem zdecydowanych środków do obrony wyspy, łącznie z jej okupacją przez siły amerykańskie, Departament Stanu i — po długich wahaniach szefowie sztabów — za pozostawieniem Czianga własnym losom. Ten ostatni pogląd przeważył. Prez. Truman, zdecydowany początkowo na wysłanie misji wojskowej na Formozę, odwrócił po kilku dniach swą decyzję i oświadczył, że Ameryka bronić wyspy nie będzie.

Perypetie sporu o Formozę nie rzucają zbyt pochlebnego światła na amerykańską dojrzałość polityczną, a co więcej, uprawniają do wniosku, że Stany Zjednoczone nie sądzą, aby sytuacja polityczna w Azji wymagała postawienia względów bezpieczeństwa strategicznego ponad ryzykiem wplątania się w wojnę domową w Chinach. Ryzyko awantury z Mao Tse oceniono jako większe od ryzyka pogorszenia pozycji Stanów na Pacyfiku. Oportunizm polityczny wziął górę nad dalekowzrocznością.

To wszystko nie świadczy jednak o tym, aby polityka amerykańska na Dalekim Wschodzie weszła na tory brytyjskie. P. Acheson stwierdził, że uznanie przez Stany reżymu komunistycznego w Chinach byłoby przedwczesne. Londyn i Waszyngton pójdą tu — przez pewien czas przynajmniej — różnymi drogami.

CZERWONO-ŻÓŁTY KOMUNIZM

Te posunięcia na szachownicy polityki światowej odbywają się w atmosferze niepewności i wyczekiwania. Jakie oblicze nadadzą Chinom nowi władcy? Czy łuk otaczający czerwone Chiny wolnych krajów wytrzyma napór komunizmu, czy też ugnie się i pęknie? Problem przyszłości Azji zaczyna przytłaczać swym ogromem inne problemy naszych niespokojnych czasów.

Trudno przewidzieć, jak się rozwinie komunizm w Chinach. Elementy dla określenia dróg jego rozwoju będą narastały w ciągu lat. Na razie można jedynie obracać się w sferze hipotez.

Trzeba założyć, że komunizm usadowił się w Chinach na lata. Nie tylko z tego względu, że nie ma tam żadnej zorganizowanej siły społecznej, z której mogłaby wyrosć opozycja, lecz również dlatego, że despotyzm państwa komunistycznego nie różni się zbytnio od despotyzmu Kuomintangu lub samowoli mandarynatu. Zmienili się ludzie, zmieniają się instytucje, hasła materializmu dialektycznego zastąpią nauki Konfucjusza, lecz formy przymusu państwowego zostaną te same.

Komunizm chiński będzie się zapewne różnił od rosyjskiego. Przede wszystkim zadanie, stojące przed partią komunistyczną w Chinach, zadanie zorganizowania totalitarnego, podporządkowanego jednolitej woli centralnej, państwa, wymagałoby nadludzkiego wysiłku. Rosja r. 1918 miała tradycję silnej władzy centralnej, Chiny tej tradycji nie mają. Kreml sprawuje nieograniczone rządy nad 180 milionami ludzi, przed Mao Tse stoi perspektywa rządzenia 450 milionami, przy pomocy partii liczącej około 3 miliony członków i w warunkach technicznych znacznie gorszych od sowieckich. Chińska republika sowiecka będzie państwem rządzonym despotycznie, lecz nie totalitarnym.

Różnice można snuć dalej. Komunizm sowiecki opierał się na proletariacie fabrycznym, starając się wprawdzie przeciągnąć na swoją stronę warstwy biednego chłopstwa, lecz traktując je jako siłę pomocniczą, drugorzędną. Według Stalina, „celem sojuszu z chłopami jest wzmocnienie pozycji klasy robotniczej i zapewnienie jej przywództwa... Każda inna interpretacja może być bardzo ładna, lecz nie jest marksizmem". Komunizm chiński nie mógł się oprzeć na elemencie robotniczym, nielicznym i niezorganizowanym, uzyskał natomiast poparcie mas chłopskich, stanowiących około 80% ludności. Masy te poszły za ruchem, obiecującym im reformy i wytrzebienie nieudolnej administracji Kuomintangu. Konsekwencje tej różnicy mogą być nieobliczalne. Chłop w Chinach, jak na całym świecie, jest indywidualistą, przywiązanym do skrawka swej ziemi. Kolektywizacja, przeprowadzona w Rosji kosztem milionowych ofiar, w Chinach musiałaby pociągnąć za sobą jeszcze większe hekatomby, wywołać „odchylenia" groźniejsze od odchyleń Bucharina i Rykowa. Lecz Lenin pisał, że drobne gospodarstwa chłopskie rodzą kapitalizm i burżuazję — stale, codziennie, co godzina, w sposób żywiołowy i w masowej skali. "Jeżeli będziemy, jak dotąd, tolerowali drobne gospodarstwa, grozi nam nieuchronne zniszczenie, gdyż indywidualistyczna gospodarka rolna nie może uwolnić ludzkości od masowej nędzy i ucisku." Jak Mao Tse rozwiąże dylemat między kanonami marksizmu a strukturą społeczną swego ruchu?

Chiny są krajem przeludnionym i biednym, technicznie bardziej zacofanym niż Rosja okresu listopadowej rewolucji. Wyżywienie ludności jest najważniejszym problemem gospodarki chińskiej. Uprzemysłowienie mogłoby podnieść z biegiem czasu stopę życiową ludności, lecz wejście na drogę industrializacji, pomimo pomocy, z jaką Zachód skwapliwie się zgłasza, będzie wymagało olbrzymich ofiar i poświęceń. Chińczycy mają znacznie mniej niż Rosjanie skłonności do cierpienia dla idei. Do wyobraźni przeciętnego Chińczyka przemawia silniej srebrna moneta i miska ryżu, niż perspektywa budowy nowego utopijnego świata. Industrializacja jest jednak również jednym z kanonów marksizmu-leninizmu. Mao niewątpliwie wejdzie na tę drogę, lecz bezwład i apatia ogromnej masy ludzkiej mogą się okazać od niego silniejsze.

WIDMO NOWEJ SCHIZMY

W tych wszystkich odrębnościach chińskiego komunizmu tkwi także zarzewie konfliktów z komunizmem sowieckim. Dogmatem doktryny sowieckiej jest wiara w powtarzalność rewolucyjnych sytuacji. „Nieuznawanie doświadczeń bolszewików i pretendowanie jednocześnie do przynależności do międzynarodówki komunistycznej — pisał niegdyś Lenin — byłoby ciężkim błędem i odchyleniem od internacjonalizmu." Organ centralnego komitetu partii, „Bolszewik", stwierdza w nr 17 z 1948 r., że „niezależnie od warunków lokalnych ogólne zasady bolszewizmu są obowiązujące dla wszystkich krajów". „Odsunięcie bądź ignorowanie historycznych doświadczeń Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej prowadzi nieuchronnie do żałosnych konsekwencji." „Jest tylko jedna droga, po której kroczymy od lat trzydziestu — mówił p. Wyszyński — droga Stalina." Czy Moskwa potrafi sprzeniewierzyć się doktrynie i przyglądać się biernie innym drogom rozwoju chińskiego komunizmu? Niewielkie odchylenia Tity uznano wszak za herezję. Choć Chiny nie są Jugosławią, wydaje się, że dla doktrynerów sowieckich złożenie zasad na ołtarzu politycznego oportunizmu byłoby ciężką ofiarą.

Możliwości tarć między Pekinem i Moskwą istnieją nie tylko na polu ideologicznym. Powodem tarć może też stać się Mandżuria, gdzie Rosja, na mocy układów jałtańskich, sprawuje władzę faktyczną w Port Arturze i Dairenie oraz zarządza liniami kolejowymi. Mandżuria jest jedynym w Chinach wielkim ośrodkiem ciężkiego przemysłu, można więc wątpić czy Mao pogodzi się z utratą suwerenności na tym terytorium, tolerując tam nadal hegemonię sowiecką. Już w czasie swej obecnej wizyty w Moskwie wysunął on żądanie zwrotu portu Dairen. Dla Rosji jednak Mandżuria jest pozycją kluczową, pozwalającą jej na kontrolę gospodarczą Chin i tworząc glacis, z którego, gdyby herezje Mao zaszły zbyt daleko, mógłby działać nowy rząd, wyrażający „prawdziwą wolę mas pracujących".

Na razie nie zanosi się wprawdzie na taki rozwój wydarzeń. Pekin uznaje wyższość ideologiczną Moskwy i jej moralne prawo do przywództwa w dziedzinie polityki światowej. Moskwa ze swej strony może się zdobyć na ofiary, niezbędne do poprawnego działania sojuszu chińsko-sowieckiego. Nad sojuszem tym będzie jednak wisiała groźba schizmy, jak miecz Damoklesa.

Może, po latach, dojdzie do tej schizmy. Powstaną wówczas dwa światowe centra komunizmu, dwa ośrodki ciążenia dla wyznawców Marksa, rozproszonych po świecie: Moskwa i Pekin. Mao może wśrod ludów Azji odegrać tę rolę, jaką odgrywa Stalin dla komunistów zachodu — rolę „ojca narodów" i autentycznego interpretatora ewangelii komunizmu. Pekin może odebrać Moskwie wyłączność posłannictwa i silniej zaważyć na przyszłości świata, niż dotąd ważyła Moskwa.

MARSZ NA POŁUDNIE

Lecz zanim usłużna propaganda otoczy przywódcę chińskiej rewolucji nimbem legendy, stanie przed nim wielki problem, domagający się rozwiązania — problem głodu. Chiny — jak się wyraził jeden z dziennikarzy amerykańskich — od wieków miały za dużo ludności, za mało ryżu. I oto przed wojskami Mao Tse, stojącymi na granicy Birmy i Indochin, otwierają się bogate i żyzne krainy południowo-wschodniej Azji. Chiny cierpią na niedobór ryżu — Birma, Syjam i Indochiny wywożą łącznie 5.600.000 ton ryżu rocznie. Niezmierne bogactwa naturalne tych krajów, niegdyś należących do imperium chińskiego lub pozostających w orbicie jego wpływów, rozwiązałyby problem wyżywienia Chin. Wszystkie one mają pokaźne mniejszości chińskie — wynik trwającej od stuleci emigracji.

Na odbytej w ubiegłym miesiącu w Pekinie konferencji azjatyckich związków zawodowych ustalono wspólny plan działania w Azji. Konferencja zadeklarowała swe poparcie dla „sił wyzwolenia narodowego" w Birmie, na Malajach, na Filipinach, w Indonezji i Indochinach. „Lokaje zachodniego imperializmu", jak Nehru, Thakin Nu, Soekarno i Hatta, zostali obrzuceni obelgami. Zdecydowano powołać do życia stałe biuro łączności, jako „sztab rewolucji" w południowo-wschodniej Azji. W ten sposób powstał Kominform Dalekiego Wschodu, narzędzie działania już nie Moskwy, lecz Pekinu. Pekin zamanifestował tu swoją samodzielność, swój zamiar przewodzenia w Azji i oznaczył kierunek swej agresji — ku wybrzeżom Oceanu Indyjskiego.

Tym przygotowaniom komunizmu w Azji do uderzenia na „tyły kapitalistycznego obozu" nie towarzyszy nic, żadna inicjatywa, ani nawet zgodna postawa zagrożonych mocarstw Zachodu. Konferencji w Colombo nie zabraknie tematów do obrad.

GLOSSATOR

---

*) Zawarte w powyższym artykule przewidywania przyszłego rozwoju wydarzeń w Chinach są wyrazem indywidualnych poglądów autora, a nie redakcji jako całości.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

LISTY O LUDZIACH 4)

BOSKIE STWORZENIE

Bibliopolis, styczeń 50

Drogi Czytelniku,

Gdybyś mnie zapytał, jaka jest najcenniejsza pozycja wydawnicza polska tego sezonu, odpowiedziałbym bez wahania, że świeżo opublikowana broszura ojca Inocentego Marii („Runia") Bocheńskiego, O. P., profesora uniwersytetu fryburskiego i niegdyś logistyka, pod niesłusznym tytułem „ABC tomizmu".

Niesłusznym, bo to nie jest ABC, czyli podręcznik dla nic nie umiejących. Kto nie wie nic o filozofii, nie czytał bodaj popularnego wykładu historii ani nie orientuje się co to jest logika, kto nie słyszał o Augustynie, Tomaszu z Akwinu, Heglu, Kancie, ten nie może się nauczyć z broszury ks. Bocheńskiego alfabetu nowoczesnej scholastyki. To nie jest abecadło, to raczej opis tego, czym jest nauka czytania. Albo jeszcze inaczej: to świetnie zrobiony katalog liter dla tych, którzy już umieją czytać.

Zauważyłeś może, że wyżej nie użyłem słowa tomizm, tylko nowoczesna scholastyka. Zrobiłem to świadomie. Tomizm jest słowem mogącym wprowadzić w błąd. Słowa kończące się na izm są w naszej epoce jak słowa kończące się na ina: przywodzą na myśl gotową receptę, preparat gotowy na dolegliwości. Zazwyczaj pochodzą od nazwiska jakiegoś autora i są przejawem braku samodzielności myślenia znamionującego nasze czasy. O. Bocheński sam zauważa na wstępie, że święty Tomasz odrzuciłby zapewne tę nazwę. Ośmielę się wyrazić przypuszczenie, że odrzuciłby ją ze zgorszeniem. W istocie bowiem współczesny tomizm nie jest interpretacją dzieł Tomasza jak marksizm jest interpretacją dzieł Marksa a kantyzm interpretacją Kanta. Współczesny tomizm jest szkołą filozoficzną powstałą w setki lat po śmierci świętego Tomasza, nie polegającą bynajmniej na ponownym odkryciu nauk tego filozofa ani nawet na nadaniu im nowej szaty myślowej, jak neoplatonizm nadał nową formę nauce Platona. Święty Tomasz nie uważał się bynajmniej za twórcę nowej filozofii a nie jestem pewien, czy w ogóle uważał się za filozofa w nowoczesnym tego słowa znaczeniu. Był teologiem, który zastosował filozofię starożytną a w szczególności doktryny Arystotelesa do objaśnienia chrześcijaństwa. Nie tworzył nowej filozofii, prześwietlił starą filozofię prawdą Objawienia.

Nowocześni tomiści bardzo starannie rozgradzają filozofię od teologii i jako filozofowie wystrzegają się wszelkiej dyskusji o Objawieniu. Toteż w sensie filozoficznym są oni przede wszystkim arystotelikami. Zasadnicze cechy ich nauki: realizm filozoficzny i optymizm, racjonalizm i hylemorfizm są arystotelesowskie. Metoda polegająca na rozróżnieniu formy i materii, przyczyny celowej i sprawczej, materialnej i formalnej, jest arystotelesowska. Pojęcia bytu, miejsce bóstwa, rozciągnięcie na przyrodę martwą praw o gatunkach (nie wiem, czy nie popełniam w tej chwili błędu terminologicznego, nie jestem pewny polskich terminów filozoficznych), wszystko to jest arystotelesowskie, wywodzi się ze skarbca tak wciąż powoływanej przez Maritaina „philosophia perennis". Więc jeżeli już koniecznie izm, to może neoarystotelizm? Ale najlepiej chyba używać dla tego kierunku określenia, jakim oznaczają go encykliki papieskie, które nie mówią „tomizm" tylko neoscholastyka. W ten sposób unika się wywoływania wrażenia, że chodzi tu o jedną z doktryn, z tych preparatów, jakimi zalał współczesną umysłowość wiek dziewiętnasty, gdy w rzeczywistości mowa o wznowieniu porządnego myślenia filozoficznego w oparciu o doświadczenia tysiącleci.

Teologia świętego Tomasza jest znana każdemu katolikowi, czy zdaje sobie z tego sprawę czy nie. Na niej oparte są nasze katechizmy, nauka naszych duchownych w seminariach, ich kazania niedzielne. Filozofia, jakiej użył Akwinata dla objaśnienia prawd religijnych, jest filozofią bardzo solidną ale nie jest jedyną możliwą filozofią dla chrześcijanina. I współcześnie obok tomistów mamy wśród katolickich filozofów przedstawicieli tak różnych szkół jak bergsoniści czy egzystencjaliści (ci ostatni wydają we Francji specjalne czasopismo „Dieu Vivant"). Na myślenie chrześcijan pierwszych wieków znaczny wpływ musiał wywierać stoicyzm, neoplatonizm formował rozumowanie myślicieli chrześcijańskich późnego cesarstwa, Arystoteles panował w filozofii scholastyków, Kartezjusz nie był bez wpływu na naukę pijarów, jezuici mieli Suareza. Racjonalizm współczesnych tomistów wywołuje krytyki w świecie katolickim, żeby wspomnieć choćby tylko ojca Sertillanges we Francji. Kościół naucza jednej prawdy ale nie jednego typu rozumowania.

Nie sądź, że to co napisałem wyżej pite jest do o. Bocheńskiego, nie, to jest pite do Ciebie. O. Bocheński zastrzega się wyraźnie, że tomizm to nie jest wiara katolicka. Ale z głosów, wywołanych drukiem części jego wywodów w prasie, przebija, że wielu czytelników spodziewa się znaleźć w tomizmie antidotum na komunizm, bojowy program katolicki, „młot na heretyków". Otóż marksizm to jest światopogląd a tomizm to jest filozofia. Światopogląd (co za paskudne słowo, niezdarnie tłumaczone z niemieckiego) jest namiastką religii, filozofia odgrywa w nim rolę sługi, a czasem nawet robota, polityki. Na światopogląd odpowiedzią nie może być filozofia tak samo, jak nie może być nią matematyka czy lingwistyka. Odpowiedzią na komunizm może być tylko ruch polityczny czerpiący swą siłę moralną z prawd chrześcijańskich.

Złudzeniem jest, że z tomizmem można iść w masy. W masy już dawno poszło się z teologią świętego Tomasza. Z filozofią neoscholastyczną można iść i idzie się do uniwersytetów, przez wychowanków uniwersytetów pośrednio do seminariów nauczycielskich. To coś, jak iść w masy z fizyką matematyczną, z teorią Einsteina, z mechaniką kwantów. Owszem idzie się, ale bardzo pośrednio. Współczesny prosty Europejczyk ma np. o duszy ludzkiej pojęcia kartezjańskie, byłoby jak mi się zdaje lepiej gdyby miał arystoteliczne, ale hasło „iść z Arystotelesem w masy" byłoby albo paradoksalne albo dziecinne. Pojęcia filozoficzne do mas (a masa tutaj zaczyna się zaraz poniżej filozofa) dochodzą w postaci wyobrażeń, nie sylogizmów.

I otóż tu właśnie jest największa trudność z tomizmem. Ostatnie parę wieków zmieniły w sposób bardzo istotny nasze wyobrażenia o świecie. Mimo, że Arystotelesa od Akwinaty dzieliło jakieś szesnaście wieków a nas od Akwinaty dzieli zaledwie połowa tego, to Arystoteles i Akwinata żyli w świecie tych samych pojęć naukowych i podobnych stosunków społecznych a my żyjemy w świecie innych zgoła wyobrażeń i stosunków. To, co było logicznie słuszne w starożytnych Atenach i w średniowiecznym Neapolu, jest równie słuszne w nowoczesnym Fryburgu. Ale, jak uczy święty Tomasz, człowiek myśli przy pomocy „fantazmów" (nie wiem czy jest polskie słowo na to), czyli pewnych obrazów i inaczej myśleć nie może. Nasze fantazmy się zmieniły i w tym jest rzecz. Tomasz mógł powtarzać za Arystotelesem wszystkie jego przykłady fizyczne, nie wiedzieć o prawie przyciągania, o elektromagnetyzmie, o chemii. My o tych rzeczach zapomnieć nie możemy. Nie chcę tu zajmować stanowiska dumnego traktorzysty patrzącego z pogardą na ciemnego rataja. Być może, że nasze poglądy są fałszywe, że za kilkaset lat będą wydawały się śmieszne, ale są jakie są, a nie jakie były niegdyś. Święty Tomasz przyjmował, że ciała niebieskie są niezmienne, że istnieje możliwość odnalezienia Edenu na ziemi itp. Przypuszczał, że nasienie męskie pochodzi z nadmiaru pokarmów a sny z waporów wewnętrznych. Nie śmiejmy się, bo nasi ojcowie wierzyli jeszcze w samorództwo bakterii a my w istnienie eteru kosmicznego.

Między Arystotelesem a Tomaszem nastąpił największy przewrót w dziedzinie myśli, większy niż między nami a Tomaszem. W czasach Arystotelesa istniało już filozoficzne pojęcie absolutu i istniało pojęcie bogów. Nie istniało pojęcie Boga. W Jerozolimie składano ofiary Bogu Jedynemu, ale cały świat zewnętrzny a niewątpliwie i ogromna większość samych Izraelitów widzieli w nim tylko plemiennego boga żydowskiego, obok „bogów innych". Pojęcie osobowego stwórcy świata, który jest samą prawdą, drogą i żywotem, miłością i opatrznością, obce było zupełnie nawet genialnemu Arystotelesowi. Wobec wielkości pojęcia Boga wszystkie dawniejsze dociekania filozoficzne wydały się ludziom bez znaczenia. I dopiero święty Tomasz był tym, który ten przewrót pojęć ogarnął z punktu widzenia filozoficznego i prześwietlił wszystkie tezy tradycyjnej filozofii ateńskiej prawdą religijną.

Arystoteles filozofował o wszystkim. Jego filozofia obejmuje także fizykę, biologię, socjologię, astronomię i wiele innych nauk. Nie filozofię przyrody czy psychologię zbiorową ale samą naukę przyrodniczą czy społeczną. Akwinata wprowadził zasadniczy rozdział: wyłączył z filozofii teologię. Był to pierwszy krok, najważniejszy. Filozofia może mówić o logicznej możliwości istnienia Boga, nie o jego istocie. Między nami a Akwinatą leży powstanie nowoczesnej nauki, może należałoby dla jasności pisać Nauki. Z filozofii zostały wyłączone wszystkie nauki i filozof, który by dziś, jak Arystoteles, wysuwał własne teorie fizyczne, medyczne czy ustrojowe byłby śmieszny. Nauka zmieniła nie tylko wygląd powierzchni ziemskiej, zmieniła nasze pojęcia o świecie, o człowieku, o społeczeństwie, o tym czym może być absolut. Nie jest to przewrót tej miary, jakim było wprowadzenie do myślenia ludzkiego pojęcia Boga, ale jest to przewrót wielkiej miary.

Tym, czego wszyscy oczekujemy, jest prześwietlenie prawdą religijną Nauki, lub, biorąc odwrotnie objaśnienie naszych pojęć religijnych zdobyczami myśli ludzkiej w dziedzinie naukowej. Czekamy, by ktoś dokonał dzieła na miarę świętego Tomasza: Tomasz prześwietlił dorobek filozoficzny starożytności prawdą objawioną i objaśnił dogmaty religijne metodą filozoficzną. Trzeba nam teraz, po ośmiu wiekach, by ktoś (jeden czy stu, mniejsza z tym) prześwietlił prawdą objawienia dorobek naukowy nowożytności i objaśnił nam dogmaty religijne metodą, z której wyrośliśmy, metodą nauki ścisłej, by dostosował nasze „fantazmy", nasze wyobrażenia i pojęcia do prawdy będącej ponad wyobrażeniami i pojęciami czasu.

Tej wielkiej potrzeby nowoczesnego człowieka nie zaspokoi i z natury swojej nie może zaspokoić kierunek fifilozofii współczesnej zwany tomizmem. Dlatego, historycznie biorąc, tomizm jest czymś bardzo małym w stosunku do świętego Tomasza.

Tym niemniej jest to, o ile laikowi sądzić o tym wolno, najsolidniejsza szkoła filozoficzna we współczesnym świecie. Chociaż pozornie jest antytezą rewolucyjności, wprowadza przewrót w myśleniu nowoczesnego człowieka i przygotowuje go w pewnym sensie do zrobienia tego wielkiego skoku w rozwoju intelektualnym, który musi nastąpić przez asymilację zdobyczy nauki do Prawdy.

Właśnie w tej chwili, pisząc, orientuję się, że dzień jest niezwykle sposobny do rozważań na ten temat. Jest mianowicie Trzech Króli. Tym niezasłużonym i nie szczególnie zaszczytnym tytułem tradycja ludowa obdarzyła trzech wschodnich astrologów, którzy na podstawie swoich obliczeń i obserwacji podjęli długą i niebezpieczną podróż i nie wahali się paść na kolana w przydrożnej szopie przed noworodkiem. Prawda pierwsza objawiła się nie tylko czystym sercom prostych pasterzy ale i otwartym głowom wielkich uczonych. W ostatnich wiekach Kościół bardzo liczył na Pastuszków a bardzo mało na Mędrców. Ale teraz potrzebujemy gwałtownie nowoczesnego Kacpra, Melchiora i Baltazara. Przypomina mi się, że przed kilkunastu laty (już kilkanaście lat! — dla mnie, a dopiero kilkanaście lat — w ogóle) na temat Epifanii pisałem w ten sam dzień Trzech Króli. Wówczas jeszcze o. Bocheński był wyznawcą szkoły logiki matematycznej.

A teraz napisał pierwszy w języku polskim zrozumiały dla każdego wykształconego człowieka konspekt tomizmu. (Byłby on jeszcze więcej zrozumiały, gdyby drukarnia w kilku miejscach nie przestawiła i nie pogubiła wierszy.) Tytuły rozdziałów: realizm tomistyczny, pluralizm tomistyczny, teizm tomistyczny, hylemorfizm tomistyczny, etyka tomistyczna, personalizm tomistyczny, wskazówki bibliograficzne i dydaktyczne — nie powinny nikogo zniechęcać, gdyż te trudne terminy są bardzo jasno wytłumaczone w tekście. Broszura ma służyć także jako wprowadzenie pracy w kółkach tomistycznych. Treść jest tak zwarta, że niesposób jej w jeszcze większym skrócie omówić. Co mnie uderzyło, to trafne i śmiałe zarazem spolszczenie terminów filozoficznych. I tak arystotelesowską formę tłumaczy autor przez „treść" a materię przez „tworzywo". Usuwa to wiele nieporozumień.

Najsłabszy jest ostatni rozdział o personalizmie. Autor pokusił się tutaj o streszczenie w kilkudziesięciu wierszach poglądów tomistycznych na istotę społeczeństwa, władzy itp. Idąc tu np. za tradycyjną nauką Arystotelesa uznaje państwo za najwyższe społeczeństwo. Uderza to tym bardziej, że gdzie indziej stwierdza, że najwyższym dobrem w porządku czysto przyrodzonym jest kultura. Arystoteles i jego epoka a także epoka świętego Tomasza nie znały tej wyższej formy nowoczesnego społeczeństwa, jaką jest naród. Współczesny filozof nie znać jej nie może. Państwo jest w stosunku do narodu podrzędne pojęciowo, jest jego narzędziem. Naród, którego najistotniejszą więzią jest kultura, jest społeczeństwem wyższym niż państwo, jest w naszej epoce niewątpliwym podmiotem historycznym. Z trzymania się tradycyjnych a przestarzałych pojęć wypływa także ocena Kościoła. Autor twierdzi, że z punktu widzenia filozofii społeczeństwo takie nie istnieje. Ale przecież Kościół jest nie tylko społecznością nadprzyrodzoną, ma także swój byt doczesny, ziemski. Nie zauważać tego niepaństwowego społeczeństwa, to jakby biolog twierdził, że nie może zajmować się anatomią człowieka, bo ten nie jest zwierzęciem ale ma duszę nieśmiertelną. Społeczeństwem jest nie tylko państwo i rodzina ale także naród i Kościół. Stąd też uproszczeniem wydaje się twierdzenie, że formą („treścią") społeczeństwa jest władza. W państwie czy w tradycyjnej rodzinie słowo władza ma sens jednoznaczny. By objąć nim inne społeczeństwa, należałoby zmieścić w nim całe, nieco odrębne pojęcie autorytetu.

Niewystarczający także jest sylogizm: „Jeśli prawdą jest, że społeczeństwo nie jest osobą, naród nie jest nieśmiertelny". Oczywiście naród nie jest osobą, jest zespołem stosunków, przede wszystkim duchowych, można by powiedzieć: jest kulturą. Ale naród żyje w osobach ludzkich i jeżeli te osoby są nieśmiertelne, to nieśmiertelne w nich jest także to, co nazywamy narodem. Jeżeli Arystoteles jest nieśmiertelny, to w nim są wciąż nieśmiertelne Ateny, a w duszy księdza Bocheńskiego będzie Polska na wieki wieków.

MARIAN EMIL ROJEK

WSPOMNIENIE O JANIE MATYASIKU

Ś.p. Jana Matyasika poznałem w 1934 r., kiedy go Stronnictwo Narodowe zaprosiło do objęcia stanowiska redaktora naczelnego „Kuriera Lwowskiego". Były to czasy niełatwe w odrodzonym państwie polskim, szczególnie może niełatwe dla polskiego Lwowa. Po zamachu majowym do władzy w Polsce doszli ludzie, którzy na ustach mieli ustawicznie słowa „państwo" i „państwowość", a znaczenia ich przeważnie nie rozumieli. Nie doceniali całkowicie gorącego kresowego patriotyzmu, którego jednym z ognisk był polski Lwów. Miasto to, straciwszy wiele ze swoich dotychczasowych pozycji na rzecz Warszawy — co było zresztą procesem naturalnym — traciło ich jeszcze więcej na skutek systemu dyktatury wprowadzonej po zamachu majowym. W Małopolsce Wschodniej wytworzyła się taka sytuacja, że podczas gdy Ukraińcy cieszyli się faktyczną autonomią swojego życia społecznego — to znaczy mogli należeć do różnych swoich stronnictw politycznych i sami sobie regulować bieg spraw w swoich spółdzielniach i innych organizacjach dobrowolnych — to Polacy znajdowali się pod stałym naciskiem biurokracji cywilnej i wojskowej, która nie przebierała w środkach, by społeczeństwo polskie „zglajchszaltować" i wszelkie źródła samorodnej pracy społecznej sprowadzić do jednego sanacyjnego ... strumienia.

Odbiło się to i na prasie polskiej we Lwowie. Naturalną śmiercią wprawdzie zmarły po pierwszej wojnie światowej ludowcowy „Kurier Lwowski" i socjalistyczny „Dziennik Ludowy", za to jednak narodowe „Słowo Polskie", jeden z wielkich historycznych dzienników polskich, zostało uśmiercone przez sanację, konając powolnie przez kilka lat po objęciu go niecałkiem prawną drogą przez grupę sanacyjną w 1928 r.

Stronnictwo Narodowe zaczęło wydawać wtedy nowy dziennik, „Lwowski Kurier Poranny", który jednak przeszedł natychmiast na nazwę „Kurier Lwowski", jak tylko wygasły prawa własności do tytułu dawnego pisma ludowcowego. Tak już bowiem jest w czasopiśmiennictwie, że naprawdę dobrych imion dla dzienników jest niewiele. Dobry tytuł dziennika powinien się składać z jednego tylko rzeczownika i jednego przymiotnika, a odpowiednich rzeczowników i przy-

miotników jest zazwyczaj nie za dużo.

Do tego więc „Kuriera Lwowskiego" przyszedł w 1934 r. na redaktora naczelnego Jan Matyasik. Właściwie „Kurier Lwowski" był jedynym wtedy we Lwowie niezależnym polskim dziennikiem politycznym. Miał Lwów wówczas dobrze redagowany dziennik polityczny żydowski w języku polskim — syjonistyczną „Chwilę", miał poważny polityczny organ ukraiński — „Diło", ale gdyby nie wysiłki narodowców lwowskich na przekór stawianym im przeszkodom nie miałby był niezależnego politycznego dziennika polskiego.

Jan Matyasik był doskonałym redaktorem naczelnym. Prawdziwy dziennikarz, zawodem swoim żył, a nie tylko w nim pracował. Przyszedł do nas już jako człowiek pełny, uformowany. Do dawnych świetnych tradycji lwowskich wnosił równie co najmniej świetne tradycje Krakowa — zwłaszcza w dziedzinie sztuki i literatury — z okresu Młodej Polski, Wyspiańskiego, Tetmajera. Przecież kiedy zaczynał się wiek XX, Jan Matyasik miał już lat ze 17.

O jego czasach sprzed pierwszej wojny światowej wiem naprawdę niewiele. Był synem wsi polskiej; pochodził z powiatu bocheńskiego. Opowiadał mi kiedyś, że kiedy w pierwszej klasie gimnazjalnej — chyba w Bochni, może w Krakowie — zadano do nauczenia się „na opowiadanie własnymi słowami" kilka stronic prozy z podręcznika polskiego, a on zadaną lekcję wygłosił nazajutrz na pamięć i to bez żadnego wysiłku — nauczyciel był wyraźnie stropiony. Był bowiem nasz redaktor naczelny prawdziwym fenomenem pamięci.

W latach 1938-39 zdarzało się od czasu do czasu, że ś.p. mecenas Sandecki, adwokat naftowy i wielki nasz przyjaciel z Krosna, zapraszał całą redakcję na wino do „George'a" — i wtedy redaktor nasz chętnie recytował poezje setkami wierszy i to nie tylko te, których zwyczajnie uczono się w gimnazjum na pamięć, ale i np. — jak pamiętam — „Podróż na Wschód" Słowackiego. A do tego dochodził Goethe po niemiecku, Beranger lub Lamartine po francusku, a raz nawet — kiedy rozmowa zeszła na czasy niewoli rosyjskiej red. Matyasika i jego podziemnej działalności niepodległościowej po rewolucji rosyjskiej — zacytował mi filozoficzne zakończenie znanej humoreski Gogola: „tak jest nudno na tym świecie, panowie" — „skuczno na etom swietie, gaspoda".

Okazało się bowiem, że Jan Matyasik nauczył się — rzecz to rzadka jak na krakowianina — po rosyjsku i to na najlepszych dziełach rosyjskiej literatury. Już wtedy też, w Rosji, umiał po angielsku, gdyż dobiwszy się w 1918 r. do Murmańska i wstąpiwszy do walczącego tam oddziału polskiego, często był używany do funkcji łącznikowej ze sztabem dowódcy brytyjskiego, generała Ironside.

Nieraz po wyjściu w nocy z redakcji na Mochnackiego 48 wstępowaliśmy jeszcze do „Szkockiej", a następnie spacerowaliśmy długo, czasem do świtu, po Akademickiej. Wtedy też opowiadał mi o swoich czasach murmańskich.

Był on pierwszym oficerem, który wysłany z Murmania do kraju, wrócił następnie do Oddziału, nie postarawszy się o przydział w Polsce. Ach, cóż to były za czasy! Mielibyśmy dla nich porównanie, gdybyśmy sami z tułaczki wojennej mogli byli wrócić do wolnego kraju.

Por. Jan Matyasik wyjechał wiosną 1919 r. z Archangielska i poprzez Londyn dotarł do Paryża akurat na podpisanie traktatu wersalskiego w dniu 28 czerwca i wielką defiladę Zwycięstwa z udziałem oddziałów polskich. Nie będę opisywał tego entuzjazmu, jaki doskonały narrator zachował był jeszcze po wielu latach. Jak pełna nadziei była przyszłość, jak wzruszające spotkanie z każdym rodakiem!

W Polsce zameldował się por. Matyasik u Naczelnika Piłsudskiego. Adiutanci zarejestrowali wyniośle przybysza — był to już wieczór — i kazali mu przyjść na drugi dzień rano. A więc młody oficer jazda na miasto i wkrótce już spotyka w pierwszym z brzegu lokalu znajomego kolegę-dziennikarza. Wkrótce przybywa ich więcej i lokale są coraz to inne. A tymczasem pościg z kancelarii Naczelnika Państwa, który dowiedziawszy się, że oficerowi z Murmania nie kazano czekać, sklął adiutantów, kazał odnaleźć kuriera i dostawić natychmiast, w nocy. Za to rozmowa była serdeczna. Odznaczony przy wyjeździe przez Piłsudskiego Krzyżem Walecznych i zabrawszy odznaczenia dla Oddziału, nie przeczuwał Matyasik, jak ostro krytykować będzie tego samego Piłsudskiego w 1926 r., po zamachu majowym. I druga przygoda dziennikarsko-oficerska: po libacji nocnej w kilku dziennikach stołecznych ukazują się koleżeńskie wywiady o Wojsku Polskim za kręgiem polarnym, za co naturalnie kuriera spotyka bura od generała Hallera, któremu — jak się okazało — podlegał Oddział Murmański. „Jak to — krzyczał gen. Haller w swojej kwaterze w Krakowie — to jeszcześ mi się Pan nie zameldował, a już ogłaszasz wywiady?"

Oto są momenty z życia ś.p. Jana Matyasika, które niezrównanie opowiadał, a których może nie zapisał. Do równie interesujących należy wspomnienie z Edynburga, dokąd Batalion Murmański zawinął w jesieni 1919 r. po drodze do Polski. Szkoci nie zanadto się dobrze wtedy orientowali, kto to są ci Polacy, którzy się tak dobrze bili pod Archangielskiem. „Lwy Północy", wedle określenia jakiegoś brytyjskiego dziennikarza, ale tyle tych narodów jest w Europie. W każdym razie urządzono publiczne przyjęcie i obiad dla Batalionu — prawdopodobnie pod auspicjami Lorda Provosta. Atmosfera była sztywna. Dopiero kiedy por. Matyasik wygłosił krótkie przemówienie i wskazał, że „Bonnie Prince Charlie", którego portret wisiał na ścianie, był synem Polki, wybuchła burza entuzjazmu.

Po takiej poezji młodości i wczesnego wieku męskiego przyszła proza życia w odrodzonej ojczyźnie. Nie wiem dobrze, kiedy Matyasik został redaktorem „Głosu Narodu". Opowiadał mi tylko o swoich walkach publicystycznych z wojowniczym socjalistycznym „Naprzodem", a potem i o wielkiej wojnie, którą toczył ze sprawcami zamachu majowego i nowymi panami Polski. W Krakowie obowiązywało jeszcze prawo prasowe austriackie, a co szczególniejsze — austriacka wykładnia tego prawa. Konfiskatę zarządzał prokurator, który zaczynał swoje urzędowanie dopiero o 10 rano. Żadna więc konfiskata nie wpływała już na rozsyłkę pisma, a późniejsza rozprawa sądowa zwyczajnie kasowała tymczasowe zarządzenia prokuratora. A tymczasem Matyasik pisał. Pióro miał ostre, przygotowanie literackie doskonałe. Artykuły operujące nieraz porównaniami z wojen domowych rzymskich (np. tytuł artykułu: „Spotkamy się pod Filippi") czytywane były szeroko. Wreszcie wpływy zakulisowe zdziałały to, czego nie mógł dokazać prokurator. Właściciele pisma zwolnili redaktora naczelnego z jego stanowiska i ułatwili mu na pociechę wyjazd za granicę — do Genewy, Rzymu i Paryża w charakterze korespondenta kilku pism polskich.

Ludzie tego typu co Matyasik i dziennikarze jego moralnego pokroju nie mogli zrobić kariery w Polsce pomajowej. Na posłów z grupy BBWR ani senatorów z „Ozonu" nie nadawali się. Byli na to zbyt niezależni, zbyt honorni, zbyt ideowi i zbyt europejscy. Nie mogli też pójść na służbę do jakiegoś magnata prasowego w rodzaju M. Dąbrowskiego, który sprzedawał swoje pismo każdemu po kolei kto chciał i miał pieniądze lub zaszczyty do ofiarowania w zamian. Po kilku więc latach Matyasik, jeszcze wytrawniejszy jako dziennikarz, jeszcze bardziej ugruntowany w swoich europejskich i zachodnich zasadach, przyszedł do biednego pisma narodowego w biednym Lwowie. I tu go po roku mniej więcej spotkał nowy cios.

Rządzona wtedy już — w 1934 r. — przez naczelników wydziałów bezpieczeństwa sanacja liczyła się coraz mniej z jakimikolwiek zasadami prawa. W 1935 r. Ubezpieczalnia Społeczna, w której wydawnictwo „Kuriera Lwowskiego" miało pewne zaległości — jak prawie każda firma przemysłowa czy handlowa —, postawiła przed sądem wniosek o wprowadzenie zarządu przymusowego w piśmie. W sądzie pomanipulowano sprawą w ten sposób, że skorzystano z urlopu sędziego, który miał powierzoną sobie w drodze normalnego przydziału sprawę, i zastępca, inny sędzia, który miał mniej skrupułów, wydał odpowiednie postanowienie. Zarządcą został usłużny adwokat, z którego przeszłości wiadomo już było, że na wiele rzeczy ważyć się może w interpretacji prawa, i wbrew postanowieniom ustawy, zabraniającym zmiany substancji rzeczy zarządzanej, zmienił kierunek polityczny pisma, pozwalniał redaktorów, wprowadził do pisma jego przeciwników politycznych i mężów zaufania miejscowego wojewódzkiego szefa bezpieczeństwa. Protesty nie pomagały; wprawdzie dziennikarz zawodowy z nowej redakcji, który przywołał do redakcji policję przeciw koledze z ustępującej redakcji, został za to usunięty ze Związku Dziennikarzy, ale nie mogło to wpłynąć na bieg sprawy.

Niezłomny Jan Matyasik, dziennikarz talentu i zasad, ale nie oportunizmu i nie giętkiego grzbietu, raz jeszcze pozbawiony został stanowiska i warsztatu pracy. Poszedł w 1935 r. ze Lwowa do Warszawy, do „Warszawskiego Dziennika Narodowego", ale

wrócił do Lwowa w jesieni 1937 r. Grupa bowiem młodych dziennikarzy narodowych we Lwowie nie dała za wygraną. Ogłoszono bojkot „Kuriera Lwowskiego" zagrabionego przez sanację. Do roku pismo upadło, potem przyszła licytacja nieruchomości i urządzeń drukarni. Specjalnie utworzony komitet zebrał dostateczną ilość pieniędzy, by narodowcy mogli odkupić na licytacji swoją własność i przystąpić do wydania pisma raz jeszcze, już pod nazwą „Słowo Narodowe".

Zaczęło się to w listopadzie 1937 r., znowu pod kierownictwem redakcyjnym Matyasika. Pobory członków redakcji były głodowe; trzeba było zaczynać z bardzo szczupłymi środkami. Ale udało się. Po roku pismo znowu już stało mocno na nogach i pomimo konfiskat służyło swojemu społeczeństwu w nadchodzących ciężkich czasach. W marcu 1938 r. Hitler wmaszerował do Austrii; jesienią do Sudetów; w marcu 1939 r. do Pragi. Pamiętam, jak przez radio w redakcji usłyszeliśmy o prośbie premiera Słowacji ks. Tiso, skierowanej do Hitlera o protektorat Niemiec nad tym małym słowiańskim narodem. Jak Matyasik rozpaczał, jak tłumaczył co to znaczy i do czego idzie. Jak przeciwstawiał się ostrożnie, ale i stanowczo, oficjalnemu entuzjazmowi co do Zaolzia i wspólnej granicy z Węgrami, które to „osiągnięcia" miały być dla Polski rzekomo rekompensatą za tak znaczne wzmocnienie Niemiec.

Wojna zbliżała się szybkimi krokami, choć niektórzy z nas — ja sam przede wszystkim — przestaliśmy już ważyć szale prawdopodobieństwa jej wybuchu. Matyasik pojechał jeszcze w 1939 r. w lecie na dobrze zasłużony urlop nad Czarną Hańczą w Augustowskim. Wrócił stamtąd zachwycony tym zakątkiem polskiej ziemi. Przyszedł pakt sowiecko-niemiecki i przestaliśmy już w redakcji dyskutować. Większość zresztą zespołu redakcyjnego dostała wezwania mobilizacyjne. Prześladowany przez sanację w czasie pokoju nie został Jan Matyasik pominięty na czas wojny. Wiedziano gdzie należy, że jakkolwiek starostowie — Klimów-Klimowiecki we Lwowie specjalną z nami toczył walkę — „endeków" tępili. Siły Zbrojne mogą na nich liczyć. Rotmistrz rezerwy Matyasik w wieku lat 56 przydzielony został do urzędu cenzury wojennej, jako cieszący się zaufaniem ludzi odpowiedzialnych za przydziały mobilizacyjne. Odjechał do Warszawy, dokąd też za kilka dni i sam się udałem z 40 lwowskim pułkiem piechoty. Nigdy już jednak nie zobaczyliśmy się. Wiem tylko, że aresztowany po pewnym czasie przez Niemców w Lubelskim wojnę przesiedział w ich więzieniach i następnie w obozie koncentracyjnym. Wolno mi przypuszczać, że mając tak interesującego człowieka w więzieniu zbirowie niemieccy nie kwapili się ze skazaniem go na śmierć czy jakąś inną likwidację. Po wojnie osiadł w Paryżu. Niestety właściwy emigrantom politycznym brak pieniędzy i ustawiczna praca w miejscu pobytu przeszkodziła i jemu i mnie w spotkaniu się i pomówieniu o dawnych i nowszych czasach. Nigdy tego nie odżałuję.

Był Jan Matyasik wzrostu średniego, miłego wyrazu twarzy i jasnego spojrzenia. Temperament miał prawdziwie ludu krakowskiego. Postudiowawszy prawo i ekonomię w Krakowie i Wiedniu — u słynnego Filipovicha — jakimś dziwnym trafem najwięcej jeszcze nauczył się literatury i historii. Był też znawcą i miłośnikiem poezji, a zresztą żadna dziedzina sztuki nie była mu obca. Pisarzem był doskonałym: jego artykuły wstępne porównać można było z artykułami Bainville'a, którego zresztą stale czytał i cenił. W ujmowaniu zagadnień kierował się zasadami moralnymi i naukami historii. Bezstronność i gest uznania dla przeciwnika nic go nie kosztowały. Pamiętam dosłownie co pisał o wymówieniu przez Becka traktatu o mniejszościach w 1934 r.: „oto nasz minister przemówił językiem godności i stanowczości". Jego artykuł na śmierć Józefa Piłsudskiego w 1935 r. był wzorem ludzkości i powagi.

Miał też ogromną wiedzę dziennikarską. Zawsze starał się spotkać osobiście z ludźmi czynnymi w polityce. W Paryżu, we wczesnych latach trzydziestych, zaprzyjaźnił się osobiście, bez zobowiązań politycznych, z gen. Władysławem Sikorskim, człowiekiem już wtedy o głośnym nazwisku politycznym. W tych samych czasach wypytywał w Paryżu Żymierskiego — późniejszego Rolę-Żymierskiego — jak to było w czasie walk majowych w 1926 r., gdyż Żymierski tłumaczył swój proces i wyrok faktem swojego stanięcia w pamiętnym maju przeciw Piłsudskiemu. O samym Piłsudskim i jego charakterze Matyasik wiedział o wiele więcej, niż różni wybitni nawet piłsudczycy. W latach 1935-37 spotykał się często z Dmowskim, który miał głębokie i szczere uznanie dla prawości charakteru Matyasika i jego talentu dziennikarskiego. W 1939 r. natychmiast po przybyciu Witosa z wygnania Matyasik udał się do niego na rozmowę polityczną i wywiad.

Był zresztą nie tylko dobrym publicystą i korespondentem, lecz znał się doskonale na całym rzemiośle dziennikarskim, na jego praktyce i teorii. Wyjaśniał nam młodszym np. zjawisko podwójnego prawa autorskiego: autorem artykułu czy notatki jest dany dziennikarz, który to napisał, ponadto jednak jest jeszcze prawo autorskie redaktora naczelnego do całego numeru pisma, choćby on ani słówka w tym numerze nie napisał. I dlatego nie może być dobrego pisma bez dobrego redaktora naczelnego.

Wychował też Matyasik wielu dziennikarzy, którzy przeszli przez jego redakcje. Popierał również młodych poetów, interesując się nimi, czytając ich utwory, dyskutując i zamieszczając je chętnie w redagowanych przez siebie pismach. Politycznie wreszcie Jan Matyasik był zarówno szczerym demokratą, jak miłośnikiem najpiękniejszych tradycji polskich i to go doprowadziło do Stronnictwa Narodowego, w którym znalazł cześć dla dorobku polskiego w przeszłości, bez względu na warstwę jaka ten dorobek wytworzyła, i zarazem czynną troskę o teraźniejszość i przyszłość narodu oraz cywilizacji, do której Polska należy. I choć Jan Matyasik nie był ani wielkim poetą jak Jan Kasprowicz, ani takim jak tamten gigantem myśli, był jednakże z tego samego gatunku polskiego, z polskiego chłopa, który urastał w bezklasowego Polaka i prawdziwego Europejczyka. Religijność, skromność, bezinteresowność, pogodne znoszenie niedostatku materialnego, który był często jego udziałem, tym bardziej jego osobowość wzbogacały.

Niech odpoczywa w pokoju.

WROCZNICĘ SMIERCI DMOWSKIEGO

Dnia 2 stycznia, w jedenastą rocznicę śmierci Romana Dmowskiego, w Brompton Oratory w Londynie odprawione zostało nabożeństwo żałobne. Na nabożeństwo przybyli licznie członkowie Stronnictwa Narodowego, mimo dnia powszedniego, oraz wielu Polaków londyńskich. Wśród obecnych byli prezes Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego, dr T. Bielecki, prezes Rady Naczelnej SN prof. W. Folkierski, sekretarz Komitetu Głównego SN p. Z. Berezowski, oraz większość członków Komitetu Politycznego SN na wychodźstwie. Ze znanych osób środowiska polskiego w Londynie byli m. in.: gen. W. Anders, gen. T. Komorowski, prezes B. Kuśnierz, prof. S. Stroński i p. J. Zdziechowski.

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

„OPŁATEK" SN

Dnia 7 stycznia odbył się w Londynie tradycyjny „Opłatek" Stronnictwa Narodowego. Życzenia zebranym, w liczbie stukilkudziesięciu, składał Kierownik Wydziału Londyńskiego płk T. Wasilewski. Przemówienie okolicznościowe wygłosił min. Z. Berezowski. Zestawił on zmiany zaszłe w świecie w ciągu roku ubiegłego oraz wyniki działalności Stronnictwa Narodowego na terenie zewnętrznym i wewnętrznym, a w szczególności powołanie Rady Politycznej. W dalszej części red. W. Wasiutyński odczytał humoreskę polityczną, a dr W. Tarnawski podzielił się refleksjami na tematy wigilijne. Na zakończenie wieczoru odśpiewano kolędy.

WIZYTA NUNCJUSZA W TPP W BELGII

Doroczne święto dzieci, organizowane przez Delegaturę TPP w Brukseli w dniu Trzech Króli, stało się okazją pierwszej wizyty Nuncjusza papieskiego, Monsignore Cento wśród Polonii belgijskiej.

Mgre Cento powitany był kolędą polską przez chór dzieci, których około 80 przybyło na to święto. Po wzruszającym powitaniu przez 9-letnią Ewunię, córeczkę dziennikarza-uchodźcy przemówił Nuncjusz. Mgre Cento podkreślił z naciskiem, że mówi do emigrantów polskich w imieniu Ojca Świętego, że mówi do prawdziwych przedstawicieli Polski. „Wiemy — mówił Nuncjusz — że Polacy byli i są dobrymi katolikami, dlatego że są wiernymi synami swej Ojczyzny, a dobrymi Polakami, dlatego że są prawymi dziećmi Kościoła Katolickiego. Wierzę z całego

serca, że Polska, która przeżywa dziś swój Wielki Tydzień i Wielki Piątek — doczeka się niebawem Niedzieli Zmartwychwstania. Takie są moje dla was życzenia. Niech żyje Polska."

Po udzieleniu błogosławieństwa apostolskiego, przedstawiciel Watykanu pozostał w domu TPP około dwóch godzin, przyjmowany herbatką w gospodzie „Pod św. Krzysztofem", patronem Wilna.

W domu trwała tymczasem zabawa dzieci, połączona z rozdawaniem podarków i przedstawieniem.

To święto polskich dzieci stało się wyrazem opieki, jaką Nuncjatura w Belgii otacza wychodźstwo polskie w tym kraju.

(n.)

PIELGRZYMKI DO RZYMU W ROKU ŚWIĘTYM

Poniżej podajemy nadesłany nam komunikat Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii w sprawie pielgrzymek do Rzymu w Roku Świętym.

Na podstawie decyzji Władz Duchownych w Anglii, w porozumieniu z Poskim Komitetem Roku Świętego w Rzymie, Instytut Polski Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii jest wyłącznie upoważniony do organizowania Pielgrzymek w Roku Świętym 1950 do Rzymu.

Przewodniczącym Podkomisji Pielgrzymkowej i sprawującym odpowiedzialną opiekę duszpasterską i organizacyjną nad pielgrzymkami jest ks. H. Kornacki.

Pielgrzymki autobusowe odbędą się w czasie:

1) od 2 do 15. 4. 50,
2) od 13 do 26. 5. 50,
3) od 25. 8. do 7. 9. 50.

Koszt przejazdu, utrzymania, noclegów i dokumentów £ 35.

Trasa: Londyn, Paryż, Lion, Chamberry, Genua, Rzym, Monte Cassino, Rzym, Asyż, Loreto, Ankona, Bolonia, Padwa, Mediolan, Turyn, Chamberry, Paryż, Londyn.

Pielgrzymki kolejowe odbędą się w czasie:

1) od 5 do 13. 4. 50,
2) od 15 do 23. 5. 50,
3) od 28. 8. do 7. 9. 50.

Koszt przejazdu, utrzymania, noclegów i dokumentów £ 26.

Przejazd koleją Londyn — Rzym klasą 3, klasa 2 za dopłatą. Czas trwania podróży około 36 godzin. Przejazd Rzym — Monte Cassino autobusami. Wyżywienie w pociągu na koszt własny. Opłata autobusów wynajętych w Rzymie na koszt pielgrzymów.

Ostateczny termin zgłoszeń na pielgrzymki kwietniowe wraz z wpłaceniem pełnej sumy należności upływa 31. 1. 1950 r.

Tożsamość fotografii przy zgłoszeniu może być stwierdzana przez policję.

Zgłoszenia na udział w następnych pielgrzymkach należy przesyłać wraz z należnością możliwie najwcześniej, nie później jednak niż na 2 miesiące przed terminem.

Ks. H. Kornacki odbył z przedstawicielem zakontraktowanej firmy „Transglobe" podróż na trasie, którą będą jechały pielgrzymki i osobiście ustalił noclegi, posiłki, rozkład podróży i miejsca zwiedzań, oraz możliwości spotkania się ze znajomymi na trasie jazdy, wykorzystując niejednokrotnie uprzejmą i ofiarną pomoc swych kolegów księży i polskich zakonów. Ponadto zapewnił: audiencję w Watykanie, opiekę polskich księży z terenu Anglii, oraz lekarzy i sióstr, którzy wezmą udział w pielgrzymkach. Zostanie wydany polski przewodnik po Rzymie i trasie. Podkomisja czyni starania o pomoc dla biednych pielgrzymów Polaków, a w szczególności dla matek, które mają swych synów na cmentarzach: Monte Cassino, Loreto, Bolonia.

Informacji udzielają polskie duszpasterstwa katolickie i koła SPK. Zgłoszenia należy kierować na adres: Instytut Polski Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii: 51, Eaton Place, London, S.W. 1.

SERWIS WIADOMOŚCI ZE SWIATA KATOLICKIEGO

Sekcja prasowa Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii uruchomiła w pierwszych dniach bm. obsługę prasową redakcji polskich w postaci tygodniowego bezpłatnego serwisu.

Serwis zawiera wiadomości ze świata katolickiego, które uchodzą uwagi agencji prasowych a mają, niezależnie od znaczenia religijnego, także wartość czysto dziennikarską.

NA MARGINESIE

„NAJLEPSZE TRADYCJE"

Poniżej podajemy treść notatki rozesłanej hostelowym urzędnikom Komitetu Oświaty, pomyślanej według najlepszych tradycji z okresu „wzruszającej przeszłości". Notatka ta, niepodpisana, była dołączana do normalnej korespondencji. Oto jej treść:

„W związku ze zbliżającymi się Świętami Bożego Narodzenia oraz Nowym Rokiem — Wydział Oświaty Pozaszkolnej — prosi Pana/nią/ o wysyłkę życzeń od tamtejszej Placówki Oświatowej dla P.P. H.F. Harroda, dyr. S. Szydłowskiego i dra I. Wieniewskiego".

Ciekawe kto w taki wątpliwy sposób zasłużyć się chciał wymienionym panom.

LISTY DO REDAKCJI

(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy)

ZA WCZEŚNIE NA PODZWONNE

Szanowny Panie Redaktorze,

Zajęty sprawami rodzinnymi i pracą na kawałek chleba, nie jestem w stanie napisać szerszej rozprawy z artykułem p. Bromkego w numerze 141 „Myśli Polskiej", z którego by wynikało, że kapitalizm jest rzeczą przeszłości, pragnę tylko w paru słowach podać kilka faktów i myśli, które mi wyżej wymieniony artykuł nasunął.

Przypominam sobie, że w okresie, gdy byłem w Anglii, sam traktowałem Amerykę jako ostatni bastion kapitalizmu. Gdy przybyłem tutaj, stwierdziłem, że „twierdza kapitalizmu" jest określeniem może nawet zbyt słabym, jest to bowiem kapitalizm tak dynamiczny, że śmiało można by go nazwać „kapitalizmem wojującym". A przecież w tym kraju nigdy nie było feudalizmu, nie może więc to być reakcja czy pozostałość tego ustroju.

Kapitalizm ma tutaj następujące cechy: jest realistyczny, trzeźwy i adoktrynalny. Stąd wynika ciągłe korygowanie własnych wad i dostosowywanie się do wymogów życia. Wobec braku skrępowania przez czynnik państwowy produkcja rozwija się aż do nadmiernych rozmiarów powodując spadek cen towarów i możność nabywania ich przez najszersze masy. Lodówki elektryczne, maszyny do prania, aparaty telewizyjne, ba, nawet samochody nie są tu przedmiotami zbytku, a podróż samolotem często tańsza jest od podróży koleją.

Przy blisko 60.000.000 zatrudnionych, utrzymanie 4.000.000 bezrobotnych nie przedstawia zbyt dużego ciężaru dla społeczeństwa; stawka bezrobotnego wynosi 25 dol. tygodniowo, problem bezrobotnych ma tu zupełnie inny aspekt niż w Europie.

Jestem bardzo daleki od wybielania kapitalizmu i nie uważam go za najidealistyczniejsze rozwiązanie gospodarcze wszędzie i zawsze. Mając jednak na uwadze wojującą stronę tego ustroju oraz wpływ, jaki wywiera Ameryka w tej chwili na niekomunistyczną część świata oraz, że w wypadku wygrania ewentualnej rozprawy zbrojnej ze Związkiem Sowieckim niewątpliwie starać się ona będzie rozszczepić ten system na cały świat, bardzo daleki jestem od zamawiania podzwonnego dla kapitalizmu.

Oświadczenie Dullesa, na wykładzie zorganizowanym przez National Committee for Free Europe, że „nawet powalenie wojskowe Sowietów nie pokona idei komunistycznej" jest, mo-

im zdaniem, jednym z objawów „wojującego" charakteru kapitalizmu amerykańskiego.

Analizując pobieżnie amerykańskie życie polityczne (będące tu problemem drugoplanowym raczej) stwierdzić muszę, że nie tylko idee komunistyczne, ale nawet skromne programy socjalistyczne bardzo trudno znajdują sobie zwolenników. Załamanie się H. Wallace'a jest tu charakterystycznym przykładem. Partia demokratyczna poza, czasową tylko, kontrolą czynszów w domach mieszkalnych oraz ubezpieczeniami społecznymi nic więcej w kierunku socjalizacji nie ma nawet na myśli. Stanowisko partii republikańskiej jest tak krańcowe, że trudno jest go nawet określić. Partia ta aczkolwiek przegrała wybory i może jeszcze i niejedne przegra, ma jednak bardzo efektywny wpływ na życie, mając za sobą poparcie wielkiego kapitału. W czasie dość dużego ciągle bezrobocia bardzo łatwo jest z fabryk czy innych warsztatów pracy pozbyć się elementów nieodpowiednich, a na ich miejsce wprowadzić kogo innego. Obawa przed utratą pracy jest tu zmorą dręczącą przygniatającą większość obywateli, gdyż człowiek który stracił pracę (bez względu na powód) jest tu traktowany, jeżeli nie jako podejrzany w ogóle, to w każdym razie jako typ niepewny, bez kredytu, z którym lepiej się nie zadawać, bo można samemu w kłopoty popaść również.

Trudno jest przewidzieć przyszły system ekonomiczny świata, ze względu jednak na dużą elastyczność i praktyczność tutejszych ludzi oraz ich poglądy na zagadnienia gospodarcze, zapowiadanie zgonu kapitalizmowi jest co najmniej przedwczesne.

Łącze wyrazy itd.,
MARIAN DONIMIRSKI,
Brooklyn, USA.

„MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W.8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata półroczna 18 sh lub 3 dol., roczna £1.16.0 lub 6 dol.